№ 44. Warszawa, 4 Listopada 1910 roku. Rok III.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY, NAUKOWY I LITERACKI.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZENSTWO" wychodzi co piątek.

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1. Tel. 97-83.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można codziennie od g. 3 — 5 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Teatrum dziejowe.

— — my mamy wielką scenę
dwadzieścia kroków wszerz i wzdłuż.
Przecież to miejsce dość obszerne,
by w niem myśl polską zamknąć już
Wyspiański.

Niezłomna konieczność dziejowa odbiera nieraz role artystom, których całe jestestwo wyrywa się do czynnej akcji na scenie życia i przykuwa ich do ław, przeznaczonych dla widzów. Płomienne porywy gorącego serca, spontaniczne wybuchy woli twórczej zostają zredukowane do cichego pół-szeptu słuchaczy; wolno im wypowiadać najwyżej stłumione wyrazy wstrzemięźliwej pochwały lub nieśmiałej nagany, wolno im sykać lub klaskać (gdy opadnie kurtyna) — ale te objawy sympatji lub niezadowolenia nie zdołają zmienić ani na jotę przebiegu wydarzeń akcji. Aktorzy wypowiadają słowa autora i poruszają się w sposób wskazany przez reżysera. A orkiestra, złożona z dziennikarzy, opłacanych przez dyrekcję, przygrywa elegijnie lub skocznie w takt pałeczki dyrygenta — wodząc zmęczonemi oczyma po tłumie różnobarwnym.

Ale zdarza się niekiedy, że bierna cierpliwość słuchaczy dobiega kresu wyczerpania. Publiczność zrywa się z miejsc, wdziera się na scenę po przez głowy stropionych muzykantów, spędza ze sceny oszołomionych aktorów i porywa w swe ręce ster akcji. Zapanowuje na chwilę zamęt nie do opisania. Wszyscy tracą głowę. I dopiero po pewnym czasie ta zaimprowizowana *comedia del arte* staje się utworem prawdziwej sztuki, przewyższającym o wiele tradycyjną formę dramatu ułożonego przez autorytety dni wczorajszych.

Ogół zwycięża jednak niezawsze. Bywa i tak, że zostaje on wyparty ze sceny przez woźnych i stróżów, przywołanych w porę przez poprzednią dyrekcję teatru. Publiczność musi powrócić na dawne miejsca; przerwana akcja zostaje podjęta przez starych aktorów, a orkiestra intonuje kantatę tryumfalną...

Tłum powraca z musu do swej biernej roli krytycznych słuchaczy i niesłuchanych krytyków. Powraca smutny, rozgoryczony i niechętny. Zapanowuje okres rozpacznego poczucia niemocy, beznadziejnej utraty wiary we własne siły. Wyczerpanie i boleść podszeptują zły nakaz szukania winowajców w kole najbliższych. Podnoszą się sprzeczki i spory, rozbrzmiewają cierpkie zarzuty, sypią się obelgi i klątwy. Zacietrzewienie doprowadza do tego, że ludzie zapominają o toczącej się nieprzerwanie akcji, odwracają się tyłem do zwalczanych przed chwilą aktorów i pogrążają się całkowicie w jałowem dogryzaniu sobie wzajemnie.

To tak częste na widowni dziejów zjawisko—tak częste szczególnie u nas — komplikuje się teraz osobliwie. Najgęściej srożą się, wyrzekają i ganią ci, którzy w chwili krytycznej zajmowali uprzywilejowane miejsca w lożach. Chcieli wprawdzie—jak twierdzą—biedz razem z parterem, ale mieli zbyt długą drogę do odbycia. Znaleźli się zatem na scenie w momencie, gdy dawni aktorzy byli na złudną chwilę odparci, i gdy był czas—zdawało się—aby rozebrać między siebie ich role. Wówczas panowie z lóż zażądali dla siebie ról głównych, orzekając stanowczo, że tamci „są do niczego". A kiedy nadeszła pora przymuso-

wego odwrotu, powrócili spokojnie na dawne miejsca i zaczęli rezonować z wielką pewnością siebie.

Emigracja polska w Paryżu była niegdyś widownią podobnych swarów i niesnasek. „Z kryjówek dusz zmęczonych—pisze jeden z historyków—wypełzały nieraz najniższe instynkty i z szumem wytaczały się na widownię, i skakały ku sobie, i zmagały się w jakichś konwulsyjnych skurczach niemocy, w jakiejś walce niezwykle tragicznej, bo prawie zawsze w walce bez chwały i bez nadziei rzeczywistego zwycięstwa".

Oddalenie fizyczne emigracji paryskiej od kraju odbierało tym sporom zażartym a jałowym bezpośredniość wpływu na bieg spraw; tępiło zatrute ostrza szpad, któremi walczono tak zajadle a „bez chwały". Teraz inaczej. Jad, wyciśnięty z gruczołów ambicji czy ambicyjek, przyjaźni osobistych lub niechęci, interesowności osób i grup, sączy się do arterji narodu, zatruwając go—oby uleczalnie!..

Paru publicystów „postępowych" zadraśniętych osobiście, podniosło *larum* kogutów, zaskoczonych na cichym folwarku pojawieniem się górującego w przestworzach jastrzębia. Zlękli się bowiem o swój byt spokojny, podwórzowy—w otoczeniu gdaczących powolnie kwok.

I stało się oto w 28 lat od chwili, gdy młodzi wówczas pozytywiści bronili na ulicach Warszawy żydów przed obałamuconym motłochem — stało się, że potomkowie ideowi tamtych działaczy głoszą hasło zwalczania żydów na wszystkich polach.

Ale nie w tem jądro rzeczy. *Postępowcy użyli sprawy żydowskiej za pozór, wierząc, że zdołają na tej placówce pokonać te żywioły lewicowe, które przeszkadzają im przyznać się otwarcie do sympatji prawicowych, tak wygodnych w epoce wszechwładnej reakcji. Bowiem samo istnienie tych żywiołów jest dla nich nieustającym wyrzutem.*

„Postęp polski" zawarł sojusz z reakcją na szkodę tych, którzy w chwili krytycznej byli mu jedyną podporą.

Próżno staruszka „Prawda" miota się bezsilnie, domagając się ścisłych terminów. „Lewica" czy „skrajna lewica" — są to puste wyrazy tam, gdzie ludzie, podszywający się pod miano „lewicowców" służą najczarniejszej reakcji; tam, gdzie ludzie, uważający się za jedynych arendarzy czystej esencji „Wolnej myśli" („a nigdy wyraz nie był dalszy treści.."), wzniecają pożogę waśni plemienno-wyznaniowych. A zresztą, wszak właśnie świadome zacieranie granic ideowych i szerzenie wszelkich nieporozumień jest tem szczytnem zadaniem, które wybrali sobie od paru miesięcy publicyści „postępowi."

Ale my nie obawiamy się nieporozumień. Każdy, kto czyta „Społeczeństwo" bez uprzedzeń, zdaje sobie napewno sprawę z celów i dążności ideowych naszego pisma. Nieporozumienia może stwarzać tutaj tylko świadoma zła wola. A na takie inwektywy odpowiadamy milczeniem pogardy.

Podjęliśmy rękawicę, którą nam rzucono pod postacią sprawy żydowskiej. *I pozwolimy wypowiedzieć się w tej sprawie wszystkim tym, którzy rozpatrywać ją będą pod kątem widzenia szczerego demokratyzmu społecznego, chociażby poszczególne poglądy autorów nie były poglądami redakcji.* Bo tak nam każe *nasze* pojmowanie wolnej myśli.

Dyskusję rzeczową przyjmiemy zawsze i na każdem polu. A szczucia gadzinowców nas nie dosięgną. Będziemy czerpali siłę ze słów włoskiego poety, które najwybitniejszy teoretyk sprawy robotniczej umieścił na wstępie swego epokowego dzieła:

„Segui il tuo corso e lascia dir le genti!"

J. M. Muszkowski.

W kwestji żydowskiej.

Kąpiel błotna.

(Dalszy ciąg).

Tak więc, jeżeli „młotowcy" prowadzą propagandę kosmopolityczną, to należy przeciw propagandzie tej wystąpić i tu p. Niemojewski — według mnie ma słuszność. Lecz samo przez się nasuwa się pytanie, czy tak jest w istocie? Jaki jest program partji społecznej X lub Y, to nas w dyskusji z „Młotem" obchodzić nie powinno; „Młot" jest pismem tygodniowem, znamy „Młot" i o nim mówić musimy. Naucz- my się nie mieszać pojęć, ludzi, programów. Jeżeli zatem weźmiemy „Młot" i jego działalność, to zarzuty p. Niemojewskiego nie wydają się być usprawiedliwione. Boć z kilku niefortunnych pojedyńczych słów lub odezwań się tego lub innego współpracownika pisma nie można sądzić o całości; toż i p. Niemojewskiemu wyrwały się nieraz takie ustępy, które jemu samemu, zapewne, na chłodno przykrość sprawią, że przypomną mu tylko pogróżki wyciągniętą pięścią (z „wykrzywieniem gęby i wybijaniem zębów"), zapowiedzi pogromowo-czemernieckie i t. d. Powtóre, robotnik, czytający „Młot", zamieszczonych w nim artykułów nie rozumie, gdyż pismo to redagowane jest niezmiernie teoretycznie, po doktrynersku i niedostępnie. A jeżeli nawet ktoś w piśmie tem wyraził się o niem, iż jest organem proletarjatu, to należy brać to chyba wyłącznie w tem znaczeniu, że pragnie pracować dla dobra klasowych interesów proletarjatu, lecz nie, że od proletarjatu tego mandaty posiada. Równie dobrze możnaby zapytać, czy wolnomyśliciele dali mandat p. Niemojewskiemu na redagowanie „Myśli niepodległej". A toż o te mandaty, których okazania żądał p. Niemojewski, wybuchła omal że nie ręczna walka! Jeżeli się sami szanujemy, uszanujmy przeciwnika; nie starajmy się imputować mu myśli, których tamten nie miał; niemasz łatwiejszego i bardziej pyrrusowego zwycięstwa nad zwalczanie czyjejś myśli przez nas ad hoc spreparowanej. Pojedyńcze odezwania się „młotowców" są równie niebezpieczne dla narodowości polskiej, jak znany okrzyk napoły ciemnego robotnika, który na jednym z wieców w odpowiedzi na okrzyk „precz z socjalizmem", zawołał: „precz z Polską", rozumiejąc pod tą „Polską" — narodową demokrację.

Tak się rzecz ma, o ile idzie o „Młot" W odmiennem zupełnie świetle przedstawi się kwestja propagandy kosmopolityzmu w stosunku do „S. D. Król. Polsk. i Litwy". Tej, rzeczywiście, zarzucić można hasła wynaradawiające. I tu, na skutek dziwnego ko-

jarzenia pojęć, których łańcucha powtarzać nie będę, v i a „Młot", p. Niemojewski dochodzi do przekonania, że to „robota żydowska".

Trudno przypuścić, aby tak było. Toć żydzi socjaliści, jako żydzi, skupili się w swoim czasie około własnego sztandaru proletarjackiego i przy nim stali; nie ulega zatem kwestji, że do partji S. D. K. P. i L należą zarówno żydzi jak i chrześcijanie, a nawet tych ostatnich musi być więcej wobec działalności w chrześcijańskiem środowisku; jeżeli zaś partja wygłasza hasła, to odpowiedzialną za to jest wyłącznie ona, to jest zarówno żydzi, jak i chrześcijanie, którzy partję tę stanowią.

Tylko zaślepienie polemiczne pozwala p. Niemojewskiemu tego nie widzieć. Temuż ferworowi polemicznemu przypisać należy również fakt, że p. Niemojewski zapomniał o niezmiernie pokaźnej liczbie żydów, którzy należą do partji lewicowych, poglądom kosmopolitycznym nie hołdujących. Sprawiedliwość wolnomyślicielska obowiązuje; nie można przesadzać in plus jednego objawu i zmniejszać do minimum drugiego, jeżeli się pragnie uchodzić za krytyka bezstronnego. Streśćmy się: Uważamy, że w obecnej fazie wybujałości nacjonalistycznych propaganda kosmopolityzmu wyłącznie w naszym kraju i w naszych warunkach jest szkodliwa (plus na rzecz p. Niemojewskiego); że na zasadzie pojedyńczych zdań nie można przesądzać kwestji kosmopolityzmu „młotowców"; że nie wolno mieszać różnych grup społecznych w celu wyciągnięcia gwałtem tego, do czego się z góry postanowiło dojść; że odpowiedzialność za robotę kosmopolityczną S. D. K. P. i L. spada zarówno na żydów, jak i chrześcijan, a zatem zarzut, postawiony wyłącznie żydom jest niesłuszny—(minus na rzecz p. Niemojewskiego).

II.

Pisząc słowo „postęp", p. Niemojewski stwarza fikcję, że postępowcy w Polsce stanowią jeden jedyny hufiec, złożony wprawdzie z oddzielnych pułków, lecz związany jednością chorągwi,—pułków, maszerujących oddzielnie, lecz atakujących razem. Fikcja ta jest może w marzeniach piękna, jest nawet dla p. N. wygodna, gdyż ułatwia mu niezmiernie pracę wyciągania wniosków, tworzenia uogólnień, lecz dla bezstronnego badacza stosunków nie jest niczem innem, niż fikcją, a uogólnienia p. Niemojewskiego niczem innem, niż uogólnieniem na fikcji opartem, a więc: *uogólnieniem fikcyjnem.*

Można się zgodzić na to, że w walce przeciwko reakcji klerykalnej i skrajnie nacjonalistycznej postępowcy różnych obozów z konieczności stykają się ze sobą ideowo, lecz programy zasadnicze, taktyka, światopogląd na ewolucję społeczną, — jednem słowem wszystko, co stanowi rdzeń partji, dzieli pojedyńcze odłamy „postępu" przepaścią nieprzebytą. Toż idea zasadnicza rozwoju socjalizmu opiera się *na szerzeniu walki klas*, idea rozwoju radykalizmu—*na jej łagodzeniu;* stosownie do tego taktyka socjalizmu wymaga, by dowieść, że nawet postęp polski czy wszelki inny jest burżuazyjnym, taktyka radykalizmu, że nawet socjalizm może być ewolucyjnym. Jest to ogień i woda, to też dziwaczne łączenie przez p. Niem. tych dwuch sprzeczności uważać należy wyłącznie za wybieg polemiczny, za manewr, ułatwiający atak. Wydaje nam się to równą publicystyczną niesumiennością, jak utożsamianie błędów danej partji z błędami pojedyńczej jednostki. I jeżeli się ma wytknąć błędy Demokracji postępowej, nie należy i nie wolno łączyć jej z S. D. K. P. i L., nie należy i nie wolno personifikować jej z zaletami lub wadami p. Kempnera. — Postępowanie p. Niem. nazywa się *demagogicznem*, to jest obliczonem na tani efekt celem pozyskania sympatji tłumu. I jeżeli tak postępuje np. „Młot" w artykule „Po pogromie" (№ 10), przeinaczając prawdę historyczną i posyłając np. wbrew wszelkim faktom, postęp polski na zjazd neoslawistów do Pragi, to krok ten jest poniekąd zrozumiały: idzie o to, by dowieść coûte que coûte, że „postęp" polski jest „burżuazyjnym", że jako taki jest „bezczelnym frazesem" i „najzwyklejszą reakcją", że „cześć burżuazyjnej Polski jest zgraną kartą szulera", że liczyć na sojusze z bankrutami i szulerami nie wolno, że należy ich zwalczać jak i resztę burżuazji, że jednem słowem tylko niepokalanie klasowe stanowisko nazwać można stanowiskiem postępowem, a wszelkie mrzonki o możliwej łączności skrajnej lewicy z radykalizmem są błędem nie do darowa-

---

Zygmunt Kisielewski.

ŚWITY.

8)

— No, no młodzieńcze. Stałeś się kąśliwy, jak piesek, który chwyta za łydkę, mszcząc się za to, że dostał kijem—odparował Zgliński przyciszonym głosem

Sarnecki wzdrygnął się z obrzydzeniem. „Do czego ja dochodzę"— pomyślał.

— Tak, nie trzeba, zauważył głośno. To smutne, ale jesteś taki, jakim być możesz—odpowiedział po chwili.

— Wcale nie głupio. Podam ci jeszcze jedną sentencję. Jeśli chcesz być na wozie, a nie pod wozem, pierwsza rzecz: rękawiczki, dobrze skrojone, ubranie. Pod ubranie nikt nie zagląda, a bieliznę brudną pokazuje tylko niechluj.

— Zapiszę sobie. Jeszcze niejednego nauczę się od ciebie.

— Bez wątpienia. Widzisz, bratku. A nie wywnętrzaj się tak drugi raz, jak w knajpie. Dzisiaj zmiękła ci trochę rura. Spodziewam się, że już dzisiaj, nie psułbyś mi krwi niepotrzebnie.

— Och nie obawiaj się! Spadam ku dołowi, ty się podnosisz w górę—dla równowagi.

— Nie tyle z powodu, czy dla jakiejś równowagi, ale, że poprostu jestem silniejszy niż ty.

Paradoks.

— Nic dla mnie jaśniejszego na tym padole zgrzytających.

— A może, a może—doktorku.

— Naprzykład?

— Że dzisiaj zwyciężają słabi i przystosowani.

— Udający, że się przystosowali—może?

— To są wykręty komedjantów. Maska wrasta w żywe ciało. Jeśli grać to swój dramat, ale dramat.

— A ty który akt piszesz?

— Spaliłem. Finita la comedia. Ale nawet mój upadek świadczy przeciwko tobie.

— To już jest młócenie plew.— Przepraszam panią—zwrócił się Zgliński do Reginy.— Zająłem pani przyjaciela ważnym dyskursem, a pani tymczasem nudzi się fatalnie.

— Właśnie chciałem zaproponować panom przechadzkę.

nia.—Ze swego punktu widzenia *ściśle teoretycznego*, być może, mają „młotowcy“ i rację (jest to kwestja do dyskusji); lecz nie możemy wierzyć w szczerość p. Niemojewskiego, skoro, stając na przeciwległym krańcu, czyni to samo, to jest łączy różne partje pod ogólnem mianem „lewicy“ lub „postępu“.

Rozbijamy tę ogólną formułę algebraiczną, podkładając pod nią odpowiednie wielkości matematyczne. — Zajmijmy się z kolei i Demokracją Postępową.

Jest to najnieszczęśliwsza ze wszystkich partji, w kraju działających.

Powstała pod hasłem „postępu“ i „demokratyzmu“ w chwili przełomowej, w epoce, w której dla zyskania sympatji szerokiego ogółu i pociągnięcia tłumów należało stać bądź na stanowisku klasowem, bądź skrajnie nacjonalistycznem. Przy długoletniem gromadzeniu się energji czynnej w obu wzmiankowanych kierunkach, w chwili otwarcia klapy bezpieczeństwa tłum mógł być porwany tylko przez prąd energji, wytryskujący z dwuch tych kondensatorów. „Tertium non dabatur“. Założyciele Dem. Post. marzyli o stworzeniu jakiegoś łącznika między temi krańcami; zapomnieli jednakże o tem, że równik może pozostać równikiem tylko o ile jest w jednakowej odległości od obu biegunów; z chwilą przesunięcia go w jedną lub drugą stronę, być nim przestaje. — W ten sposób wszelkie odchylenie musiało być zgubą dla programu Dem. Post., a bez odchylenia partja ta skazaną była na bezruch.

Do wzięcia udziału w życiu politycznem każdej partji, oprócz programów i kierunków, potrzebne są pieniądze i siła materjalna w postaci tłumu, na którym by się oprzeć mogła. Jest to tem niezbędniejsze w poważnej chwili dziejowej, jaką był czas powstania Dem. Post., wyborów do 1 i 2-ej Dumy, i t. d. O ziemiaństwie nie mogło być mowy, gdyż obszarnictwo skupiło się koło partji polityki realnej, mniejsi obywatele zaciągnęli się pod sztandar N. D. Nie można było liczyć na mieszczaństwo, gdyż to było właściwem jądrem Dem. Nar. Robotnicy byli w masie zwolennikami partji socjalistycznych. Pozostała zatem jedynie drobna *część inteligencji*, gdyż poważny odłam był rozdzielony między inne partje, nie licząc tych, którzy stali wogóle od polityki na uboczu. Drobna zatem część inteligencji stanowiła ośrodek partji. — Lecz niewielka ilość ludzi nie może złożyć odpowiedniej sumy, niezbędnej do odegrania roli politycznej; należało wciągnąć ludzi bogatych a chętnych. I znów kombinacja, podobna do powyższej: obszarnictwo, ziemiaństwo, mieszczaństwo—nie da; twarda konieczność zmusiła do zwrócenia się do inteligentniejszych członków plutokracji i przemysłu, t. j. do ludzi, których miejsce ze względu na stanowisko klasowe było w obozie pol. realnej.

Wiadomo, że plutokracją — to żydzi; wiadomo, że plutokracja i przemysł nie mogą stać na stanowisku klasowem interesów robotniczych, szczególniej w chwilach gwałtownego przełomu, kiedy stanowisko klasowe najsilniej się akcentuje. To też Dem. Post, odrazu stanąć musiała w kolizji z partjami socjalistycznemi, pomimo schlebiań w tym kierunku. Zmuszona do oparcia się na tłumie, bez czego — szczególniej przy wyborach—roli żadnej odegrać by nie mogła, pozbawiona poparcia robotników i mieszczaństwa, nie miała żadnego wyboru; siłą rzeczy musiała oprzeć się na masie żydowskiego drobnomieszczaństwa. Przyszło jej to tem łatwiej, że, jak się rzekło, fundamentem partji była plutokracja żydowska. Stąd powstał mezaljans—połączenie postępu z chasydzką ciemnotą. —Prawda, że związek ten był krótkotrwały, że nastąpił rychły rozwód, niemniej jednak położył on na Dem. Post. niezatarte piętno. W ten sposób uniemożliwiła się partja ta na lewicy przez sojusz z przedstawicielami kapitału, na prawicy i u Dem. Nar. przez łączność z chasydyzmem. Prócz tego dała potężną broń w rękę przeciwnikom politycznym, podsunąwszy im hasło, że „postęp polski — to żydzi“ Wystawioną w programie różdżkę oliwną radykalizmu Dem. Post. złamała, a wyciśnięta z owoców oliwa kapnęła do ognia. Minęły gorące dni walki, nastała reakcja. Dawni sojusznicy zwrócili się w gwałtownym ataku przeciwko Dem. Post. z jej hasłami asymilacji żydów. Należało je odpierać i to nietylko wobec żydów, do czego został wskrzeszony „Izraelita“, lecz i wobec szerokich szerokich warstw narodu, do czego nadaje się wyłącznie pismo codzienne. Pismem tem była i jest „No-

---

Zgliński popatrzył na zegarek.

— Niestety. Towarzyszyłbym państwu z wielką przyjemnością, ale nie mam czasu—rzekł ozięble, urażony.

— Ależ panie—pan mnie nie zrozumiał. Poprostu chciałam trochę powietrza. Zamierzałam zwrócić się do Stefana, aby pana zaprosił.

— Nie potrzeba zapraszać, on i tak pójdzie—przeciął Sarnecki.

— Cóż to znowu? Co się panu stało dzisiaj?—zapytała Regina wyniośle.

— Niechże pani tego nie bierze tak tragicznie, panno Regino. Taki już nasz zwyczaj—przyjacielski, prawda doktorku?

— Twój zwyczaj!—Muszę jednak państwo pożegnać.

— Więc—?—pytała Regina, uśmiechając się czarująco do Zglińskiego.

— Więc—do widzenia pojutrze. Możemy liczyć na państwo?

— Prawda. Naturalnie, że będziemy.

Zgliński pożegnał się i wyszedł.

Sarnecki oparł się o framugę okna. Regina usiadła na kanapie. Oboje milczeli. Regina ziewała demonstracyjnie.— Skoro milczenie stało się już niepokojące przerwał je Sarnecki.

— Regina!

— Regina!—powtórzył.

— Och mały!—

— Więc już?—

— Byłeś dzisiaj niegrzeczny.

— Zapomnij. Niema o czem mówić. Nie mogłem być inny. Ostatnią, jedyną prośbę mam do ciebie.

— Jaką, mały?

— Dzisiaj i jutro jeszcze moje, tylko moje—?

Regina objęła go.

— Dzisiaj i jutro jeszcze twoje, a potem— Ja bardzo jestem podła, Stefan?

— Okrutna, okrutna jesteś.

— Tak on powiedział. Spodobał mi się ten twój przyjaciel.

— On to widział, starał się oto.

— Ale sobie ząbki na mnie połamie— mówiła Regina, uśmiechając się do swych myśli.— Powiedziawszy to, przytuliła się do niego jeszczej mocniej i zapatrzona gdzieś, kołysząc się, oparła się o jego piersi. Sarnecki podtrzymywał ją prawą ręką, lewą otoczył jej szyję. Stali tak długo przy sobie w milczeniu

wa Gazeta". I tu się zaczyna tragedja Dem. Postępowej. Zgrupowanym koło Nowej Gazety ludziom, zdawało się, iż uda im się, dzięki postawieniu na czele pisma żyda, dzięki zajęciu stanowiska możliwie w stosunku do żydów bezbarwnego, dzięki akcentowaniu haseł humanitaryzmu rozlać prąd asymilacji na szerokie masy, skłonić je do czytania gazety polskiej, zamiast różnych „Hajntów", „Frejntów", i t. d. Zapomnieli o tem, że asymilacja, jak każdy prąd społeczny, jest w jednej setnej zaledwie części zależną od agitacji, a w 99 setnych od prądów ekonomiczno-społecznych i kulturalno-uczuciowych.

Plan „Nowej Gazety" udał się o tyle, że skupiło się koło niej t. zw. „żydowstwo postępowe". Lecz „żyd postępowy" i „żyd postępowiec"—to różnica kolosalna, mniej więcej, jak „żyd polski" i „żyd-polak".— Dość jest zrzucić chałat, przestać mówić żargonem i zarzucić odbrządki zacofanych żydów, by zostać żydem „postępowym", lecz o wiele za mało, by zasłużyć sobie na miano postępowca. Dzięki temu, że „Nowa Gazeta" skupiła koło siebie — wielu „żydów postępowych", lecz bardzo niewielu „żydów postępowców" musiała, by istnieć—stać się kompromisową, skłonną do ustępstw na rzecz wymagań „żydów postępowych". Że zaś w założeniu swem miała być pismem *postępowem*, przeto wytworzyła w umyśle p. Niemojewskiego et consortes fikcja, że postęp może być żydowskim i polskim, że postęp można semityzować lub asemityzować. Błędów „Nowej Gazety", zmuszonej w celu istnienia lawirować między niebezpiecznemi skałami drażliwości żydowskich i względnie dość znacznej jeszcze ciemnoty „żydów postępowych", nie należy i nie wolno identyfikować z działalnością tych postępowców prawdziwych (bądź chrześcijan, bądź żydów), którzy nie łudzą się bynajmniej co do wartości hufca „postępowców", zwerbowanego z żydów postępowych. Ludzie ci wiedzą aż nazbyt dobrze, że w kraju naszym jest—niestety—zbyt mało jeszcze cegieł do budowy świątyni postępu; rozumieją oni, że dzisiejsze szeregi postępowych żydów i postępowych chrześcijan—to zaledwie ziarno, z którego kiedyś—po latach—bujny łan postępu polskiego ziemię naszą pokryje. (d. c. n.) Wojciech Kesling.

Testimonium paupertatis.

II.

Zdecydowawszy się rozpocząć walkę z lewicą, na co nie mało wpłynął dodatnio fakt ukazania się lewicowych, to jest bardziej groźnych dla postępowców tygodników, polscy postępowcy wybrali jako teren tej walki kwestję żydowską. Dziś tyczące się rozprawy w tej kwestji, bezprzykładne dla jakiegokolwiek postępowego obozu wystąpienia pp. Niemojewskiego, Rzymowskiego i p. Moszczeńskiej, dwuznaczne i wykrętne stanowisko przedstawicieli Polsk. Zj. Post. ujawnione poczęści w „Prawdzie", poczęści w osobistych interwiewach — cała ta naganka na żydów, prowadzona w rozmaitej formie i w różnym stopniu ma w danej chwili ten właściwie podkład polityczny.

Wszystko to służy do walki z lewicą, wszystko to wymierzone jest przeciwko *całemu* lewicowemu obozowi, wszystko to zmierza do zdyskredytowania tego obozu, do wywołania dzikiej orgji nienawiści rasowej, którąby w swych konsekwencjach pozbawiła siły tych, którzy by się jej z natury rzeczy bezwzględnie opierali. „Prawda" w artykułach „Postęp i żydzi" mimochodem odsłania tę swoją istotną tendencję. Mówiąc o polskich stronnictwach proletarjackich, oznajmia, że rozłożyli się tam „licznym i niebezpiecznym taborem" ludzie, którzy na gruzach kultury polskiej pragną „zbudować żydowsko-kosmopolityczną świątynię nowego kultu" i że „walka z nimi staje się koniecznością". Wynalazek, że stronnictwa lewicowe, są narzędziem w ręku „żydowskich kosmo-polityków" nie jest bynajmniej oryginalny. Wszędzie na świecie, wszystkie stronnictwa antysemickie zwalczają na tym gruncie i w ten sposób lewicę.

Narodowa demokracja uprawia tę metodę walki od lat wielu. Dziś przejęli ją polscy postępowcy, raz jeszcze stwierdzając, że między niemi i zwalczanym rzekomo przez nich obozem narodowo-demokratycznym niema żadnych istotnych różnic. Niemający jakiegobądź społecznego gruntu pod nogami, wiecznie niezdecydowani, zawsze szukający popularności i ni-

---

Nagle Regina ruchem gwałtownym podniosła głowę. Ręka Sarneckiego konwulsyjnie zaciskała się na jej szyi. Jego twarz była blada, zlodowaciała, oczy pałające, rozszerzone, warjackie, żyły na czole nabrzmiałe krwią.

— Boże mój, Stefan!— krzyknęła przerażona, odrywając jego rękę. Sarnecki drgnął, jako człowiek nagle zbudzony.

— Stefan, kochany, cóż ty!--zawołała. Mój mały, słuchaj, kochanku—obsypywała go pocałunkami, przygarnęła do siebie i pociągnęła na swoje kolana. Kocham cię—pragnę—chodź.

— Życie czy sen. Nie przypuszczałem, że i do tego jestem zdolny — rzekł sucho.

Regina wcisnęła usta w ucho Sarneckiego: kocham. Szept wślizgnął się w jego krew z sykiem i, jak wąż, pełzał po ciele, łaskocząc zmysły.

— Ty Ewo!

— Nie – Regina—twoja.

— Nie—ty jesteś Ewa—rzekł głosem znużonym z nienawiścią.

W dzień postanowionego odjazdu Regina opuściła pokój Sarneckiego dopiero około jedenastej przed południem. Gdy za nią zamknęły się drzwi, Sarnecki podszedł do okna. Widział jak wsiadła do dorożki, jak odjeżdżała, zmieszała się z tłumem, zniknęła— a długo jeszcze patrzył. Potem odwrócił się i usiadł. Oczy miał wybladłe, pozbawione blasku życia, policzki wyschnięte i żółte. Twarz starca. Siedział nieruchomo. Wtedy wspomniał zwięzłe, przesmutne słowa poety: „Jedźmy!—Nikt nie woła!"

I niespodziewanie dla siebie doznał uczucia podniosłego. Czuł: „żyję", „ja żyję". W głębi duszy zaszumiał strumień, z prawiecznych zródlisk pędzący do morza. Rwie nieokiełznany, rozbijając, albo porywając, co mu na zawadzie stanie. Oto on, Sarnecki stał nad brzegiem, pogrążony w siebie—i nagle znalazł się na grzbiecie fali. Płynie z szybkością kamienia zlatującego ze szczytu, stacza się w doły i znowu pędzi w górę. Jest mu lekko i błogo. Nie myśli o tem, że każdej chwili może się zdruzgotać o skały. Życie codzienne zapomniane. Ukryła się najstraszliwsza zmora: nuda i bezcelowość. W duszy kipi radość, rozsadza ją, wyzwala okrzykiem: do morza! do morza!

(d. c. n.).

gdy nie umiejący jej znaleźć, nie mogący się zdobyć na śmiałość myśli i konsekwencję w działaniu, stale wahający się, chwiejni, półśrodkowi—a przedewszystkiem beznadziejnie, tak beznadziejnie pozbawieni zasad — polscy postępowcy obecnie z kolei zawinęli do portu antysemityzmu. Czy długo w nim pozostaną? To zależy od dalszego przebiegu wypadków dziejowych. Zgoła nie jest wykluczone, że ich za parę miesięcy zobaczymy znów w sojuszu z najwsteczniejszemi warstwami żydowstwa, ze skrajnie nacjonalistycznemi żydowskiemi partjami, tak jakeśmy ich widzieli tam przed kilku laty, podczas wyborów do drugiej Dumy.

Wtedy znów oznajmią, że gdy stali pod znakiem antysemityzmu, to było w tem „wiele owczego pędu i wiele bezkrytycznych uniesień i „wiele nieporozumień". Tymczasem wszakże stoją wyraźnie pod tym znakiem. I jak to oni — chcieliby stać pod tym znakiem. jeno do połowy, żeby nie odciąć sobie drogi do powrotu. I jak to oni zawsze, siląc się na wyższą dyplomację, są niewiarogodnie niezręczni. Więc nie chcą wziąć na siebie odpowiedzialności za wybryki p. Niemojewskiego, owszem podkreślają, że on mówi nie w ich imieniu, ale jednocześnie nie mogą się zdecydować tylko co do drobnostki—co do tego, czy skrajnie antysemickie wystąpienia p. Niemojewskiego wysuwają się „na sam kraniec ich linji strategicznej" czy też wychodzą „nawet (!) poza kraniec". Więc obiecują „piętnować" „żydowskich kosmopolityków", którym z całą świadomością fałszu insynuują „natrząsanie się nad Polską i jej nadziejami", ale jednocześnie przysięgają, że są „dalecy od kompromisów na rzecz antysemityzmu." Wszakże nie wszelkiego antysemityzmu wypierają się ci pseudo-postępowcy, lecz jedynie „wulgarnie pojmowanego". Istnieje zatem jakiś „osobliwie pojmowany" antysemityzm, od kompromisów na rzecz którego ci panowie nie są bynajmniej dalecy. Zresztą i „tuzinkowego antysemityzmu" nie wyrzeka się polski postęp raz na zawsze.

Przeciwnie, zapowiada, że grzechy bojującego nacjonalizmu żydowskiego mogą „wolnych myślicieli i postępowców" „zmusić do zejścia z wyżyn kulturalnej tolerancji na boisko tuzinkowego antysemityzmu". Cytując tę kompromitującą groźbę, „Izraelita" pociesza się, że to jest niezręczność stylistyczna. „Izraelita" spełnia swoje normalne zadanie—pismo to wogóle ma za zadanie pocieszanie zarówno „polaków-aryjczyków", jak i „polaków-semitów", że zarówno ci, jak tamci nie są tak źli, jak się na pierwszy rzut oka wydaje i że wogóle wszystko będzie dobrze. Wolno „Izraelicie" traktować grożenie „tuzinkowym antysemityzmem" jako niezręczność stylistyczną. Ale rzecz prosta, uwierzą mu tylko ci, którzy, jak on nie lubią się martwić, i którzy jak on nie umieją poważnie rozejrzeć się w otaczającej sytuacji. — Dziś postępowcy wywiesili sztandar antysemityzmu; pod tym przedewszystkiem sztandarem wystąpili do walki z lewicą.

Walkę tę, twierdzi „Prawda", „w przodową linję", której wysunął się p. Niemojewski, narzuciły „społeczeństwu polskiemu" „teorje i praktyki pp. Grossera, Warskiego et tutti quanti". Cóż tedy polscy postępowcy przeciwstawiają owym „teorjom i praktykom"? komentarz do uchwał Polskiego Zjednoczenia Postępowego z dn. 5 kwietnia r. b. Pomówmy zatem o tych uchwałach i o tym komentarzu. Powtarza się przedewszystkiem bezmyślny frazes o „dążeniu do podziału polskiej ziemi... między równouprawnioną z obu stron spółkę polsko-żydowską". Kto, gdzie i kiedy mówił, czy pisał o jakimś podziale polskiej ziemi? Była mowa o tem, że żydzi mieszkający w Polsce powinni mieć prawo korzystania ze swego języka we wszelkich instytucjach państwowych i społecznych. Nazywać to dążeniem do podziału ziemi polskiej, znaczy to zaciemniać kwestję, umyślnie i świadomie przeinaczać poglądy przeciwników, spekulować na to, by zbudzić uczuciowo-odruchową odrazę do tych poglądów. Podobne demagogiczne sposoby walki nie przynoszą zaszczytu tym, którzy się do nich uciekają.

Sporna polityczna kwestja sprowadza się do tego, czy asymilacja polityczna i kulturalna powinna być *warunkiem* „równouprawnienia żydów w życiu prywatnem i społecznem".

Innemi słowy, czy żydzi, którzy nie umieją po polsku, nie powinni korzystać z pełni praw; czy wszelakie instytucje utrzymywane i za podatki, płacone przez żydów mogą odmówić wysłuchania ich, czynienia zadosyć ich potrzebom, porozumiewania się z niemi, dopóki wielotysięczne masy żydowskie nie nauczą się rozumieć i mówić po polsku; czy też odwrotnie w myśl zasady, że instytucje istnieją dla ludności powinny być zorganizowane tak, aby mogli korzystać z nich wszyscy przynajmniej stali i liczni mieszkańcy kraju, bez względu na to, czy znają polski język. Polskie Zjednoczenie postępowe występuje w obronie zasady: najpierw asymilacja, później prawa, ja twierdzę, że odmawianie masom praw dlatego, że należą do innej narodowości, choćby się ją uważało za „grupę plemienno-wyznaniową", kłóci się z najelementarniejszemi zasadami demokratyzmu. Oto na czem polega nasz spór w tej dziedzinie. „Prawda" ogłasza urbi et orbi „asymilacja jest naszem niewzruszonem zasadniczem hasłem" i cytuje Świętochowskiego: „Kto mówi, że asymilacja u nas zbankrutowała, ten mówi, że kultura polska jest za słaba, ażeby strawiła żydowską, że ona nie zdoła — jak francuska lub niemiecka — wessać i przetworzyć osad semicki u nas". Zdanie p. Świętochowskiego byłoby zupełnie słuszne, gdyby działanie na kulturę żydowską kultury francuskiej i niemieckiej z jednej strony, a kultury polskiej z drugiej odbywało się ceteris paribus, przy pozostałych jednakowych warunkach. Nie wiedzieliśmy dotąd, że we Francji żydzi stanowią 15% mieszkańców, że w 118 większych miastach Francji żydzi stanowią większość, że ilość ich w stolicy kraju wynosi 40%. Ale poza tą ilościową różnicą, mającą, rzecz prosta olbrzymie znaczenie — istnieją i inne wielce poważne różnice, biorące źródło w historji poszczególnych krajów i to bynajmniej wyłącznie nie w historji ostatnich dziesięcioleci, ani nawet ostatniego stulecia.

Zbyt to obszerny temat, aby go w danem miejscu szczegółowiej rozważać. Zaznaczmy inne geograficzne położenie Polski, które uwarunkowało ekonomiczną i polityczną sytuację państwa i wykreśliło odmienne, niż we Francji dzieje rozwoju miast i mieszczaństwa, t. j. tych właśnie ośrodków, w których od wieków mieszkali żydzi, podkreślmy to, że w Polsce nie zdążył się rozwinąć oświecony absolutyzm, torujący drogę do zlania się stanów i grup w narodowość współczesną, a okręgów w jednolite państwo, wspomnijmy wreszcie, że cały szereg takich niespełnionych zadań historycznych Polska musiała spełnić w wyjątkowo ciężkich, trudnych i nienormalnych warunkach, dzięki czemu opóźniało się, a częstokroć i zupełnie przeinaczało ich działanie. W tej sytuacji zdanie p. Świętochowskiego o niedocenianiu kultury polskiej przez tych, którzy stwierdzają upadek asymilacji, jest wyraźnem nieporozumieniem.

I oto dziś, w początkach dwudziestego wieku, w okresie pełnego rozwoju kapitalizmu w Królestwie Polskiem, mieszkają prócz Polaków ogromne rzesze Żydów, którzy się nie zasymilowali. Taki jest istotny stan rzeczy, który można sobie rozmaicie tłumaczyć, ale z którym nie sposób jest nie liczyć się serjo.

Chodzi wcale nie o to, aby przewidzieć, czy kiedyś asymilacja nastąpi, czy też żydzi potrafią zachować i rozwinąć swoją odrębną narodową kulturę. Nie w tej płaszczyźnie toczy się spór. Polskie Zjednoczenie Postępowe, gdy twierdzi, że hasłem jego jest asy-

milacja, poprostu błędnie się wyraża i nadużywa tego terminu. Asymilacja jest to proces dziejowy i jako taki nie może być hasłem działalności. Właściwem hasłem Polskiego Postęp. Zjednoczenia jest „polszczenie żydów". O ile asymilacja następowałaby bez ucisku i przymusu, o ile następowałaby, jako rezultat dążeń masy żydowskiej do tych form kultury, które zapewniają prędszy i swobodniejszy rozwój — o tyle rzecz prosta, wszelka walka z nią, byłaby reakcyjną utopją. Próżno „Młot" przypisuje mi chęć walczenia z asymilacją. Nie myślę, aby w tej chwili był odpowiedni czas na to, aby prowadzić walkę między sobą. Sądzę, że stokroć właściwszem jest zwrócenie wszystkich sił w tę stronę, z którą wszelkie porozumienie się jest wykluczone. Muszę przecież kategorycznie się zastrzedz przeciwko podobnemu tłumaczeniu moich poglądów. Nie prowadzę i nie myślę prowadzić walki z naturalnym procesem asymilacyjnym, o ile taki nastąpi, uważałbym taką walkę za beznadziejną i szkodliwą,—z całą stanowczością zwalczać będę sztuczne przymusowe spolszczanie, spolszczanie pod groźbą praw wyjątkowych, spolszczanie, traktowane jako warunek prawa do swobodnego korzystania z instytucji państwowych i społecznych.

O ile asymilacja jest koniecznością, o ile w kulturze żydowskiej niema dostatecznej ilości soków życiowych—to umrze ona naturalną śmiercią bez wszelkich gwałtów, przymusu i ograniczeń. O ile zaś w żydowskiej odrębnej kulturze są pierwiastki, zapewniające jej możność doskonalenia się i rozwoju, to wszelkie sztuczne i przymusowe środki nie zdołają ich zniszczyć. Twierdzę, że sztuczne zaszczepianie ludziom narodowości i kultury polskiej jest takim samym gwałtem, jak niemczenie, rusyfikowanie, i temu podobne przejawy nacjonalistycznej ekspansywności. I z tych samych racji w tenże sam sposób powinno być zwalczane przez wszystkich rzetelnych demokratów. Polscy postępowcy starają się swoją nacjonalistyczną politykę uzasadnić przy pomocy oryginalnego pomysłu.

Twierdzą oni: nie należy, rozumie się, niweczyć żadnej narodowości, ale żydzi nie są narodem. Dowodzą zaś tego w wielce prosty sposób. Oto „Uchwały Pol. Post. Zj". zgodziły się na to, aby żydów nie uważać za naród odrębny o rozwiniętej świadomości, aby żargonu nie uważać za język narodowy żydowski..." Tu już wkraczamy w dziedzinę farsy. W lokalu przy ulicy Rysiej; zeszło się dwudziestu panów i trzydzieści pań i zgodzili się na to, aby.... A wobec tego, tego, że ci państwo się na to zgodzili, ustaje naturalnie wszelka wątpliwość. Nic to nie znaczy, że żydzi się uważają za odrębny naród, a język, którym mówią, za swój narodowy język; drobnostka, że wielotysięczne masy żydowskie domagają się dla siebie praw swobodnego rozwoju, błahostka, że na ołtarzu walki o te prawa złożyli tysiące ofiar.

W lokalu przy ulicy Rysiej trzydziestu panów i czterdzieści pań zgodzili się na to aby... Toć w ten sam sposób można odmówić praw wszelkiej narodowości. Zejdzie się garść inteligentów i uzna, że litwini, rusini, białorusi, łotysze, chorwaci—to nie są narody, jeno takie, albo owakie grupy. A taka uchwała, zdaniem P. Zj. P. rozwiązuje ręce. Tego nie sposób nawet serjo traktować. Nie o wyrazy chodzi, nie o terminologję—jeno o to, czy można ludziom powiedzieć wyrzeknijcie się swego języka, poczujcie się polakami—póki to i tamto nie nastąpi — my nie pozwolimy wam korzystać z pełni praw.

Faktem jest, że w granicach Królestwa Polskiego mieszka 15% żydów, rozrzuconych przeważnie po miastach i stanowiących ogromny procent ludności miejskiej Królestwa. Powstaje problemat jak zorganizować współżycie Polaków i Żydów, aby odbywało się ono bez wzajemnej walki, zderzeń i wstrząśnień, aby rozwijało się ono pokojowo i normalnie, tak jak to leży w interesach warstw ludowych obu tych grup.

Sądzimy, że jedynym sposobem osiągnięcia tego celu, jest usunięcie wszelkiego przymusu, pozostawienie żydom możności swobodnego rozwoju, który wykaże, jaka tendencja ostatecznie zwycięży: tendencja ku asymilacji, czy ku zachowaniu odrębnej narodowej kultury.

„Pol. Zj. P." wybrało jako teren walki z lewicą kwestję żydowską, licząc na to, że sama ta kwestja wzbudzi odruch „egoizmu narodowego", wrogiego poglądom „lewicy". Lewica przyjęła tę walkę, jak przyjmie wszelką inną i na każdym innym terenie. Mam to głębokie przeświadczenie — że mój punkt widzenia zmniejsza niebezpieczeństwo walki narodowościowej w Królestwie, da możność zbliżenia się z sobą i zbratania warstwom pracującym obu narodowości, mieszkającym faktycznie w kraju i że wskutek tego właśnie służy interesom Polski. Mam to niezłomne przekonanie, że panowie postępowcy, którzy twierdzą, że ziemię tę przepoili „krwią i łzami", którzy mają wciąż na ustach imię Polski i rozpalają pożar narodowościowej walki na tej ziemi, głoszą hasła nacjonalistycznych szczuć i gwałtów — że ci panowie plugawią najpiękniejsze polskie tradycje, ciężką krzywdę wyrządzają Polsce.

Bronisław Grosser.

Dziennik rekonwalescencji.

(Z powodu dzieł Stanisława Brzozowskiego „Legenda Młodej Polski" i „Idee").

(Dalszy ciąg.)

Ta zadziwiająca jednostronność p. Brzozowskiego jest w znacznym stopniu skutkiem jego wadliwej metody, skutkiem wpływu nań z jednej strony Bergsona i Sorela, z drugiej modernizmu katolickiego.

Światopogląd Bergsona, jak twierdzi sam p. Brzozowski, jest pokrewny temu ostatniemu. Tymczasem wywarł on wpływ na jednego z najwybitniejszych teoretyków syndykalizmu—Sorela; w tem—tragikomedja owej „rewolucyjnej" teorji.

Modernizm katolicki jest reakcją przeciwko ruchowi robotniczemu, który jest wrogi ustrojowi burżuazyjnemu i zarazem, jako ruch najbardziej postępowy, antyklerykalny z samej istoty swych zadań i dążeń.

Ruch antyklerykalny burżuazyjny we Francji, który się rozpoczął jeszcze podczas Wielkiej Rewolucji, osłabł czasowo, gdy walka robotników o swe interesy zespoliła przeciwko sobie wszystkich swych wrogów.

W ciągu zaś lat ostatnich, gdy władza państwowa znalazła się w ręku radykalnego mieszczaństwa, które występuje w roli zbawców wciąż bardziej rozkładającego się ustroju kapitalistycznego, jako ostatnia falanga spadkobierców liberalizmu francuskiego, — walka z klerem, główną dźwignią której był ruch robotniczy, znalazła poparcie i wśród sfer panujących.

Wywołało to niezadowolenie nie tylko ze strony wątłych pozostałości starego porządku, lecz i wśród tej części burżuazji, która wobec czerwonego widma ruchu robotniczego wyrzekła się zupełnie dawnych tradycji rewolucyjnych i gotowa jest sprzedać swe pierwszeństwo klerowi, wzamian za ujarzmienie umysłów robotniczych. W tem tkwi źródło wzmożenia się

modernizmu katolickiego. Przeżywa jednak dziś ciężkie chwile Z jednej strony bowiem nie cieszy się uznaniem sfer rządzących, z drugiej — jest prześladowany przez Rzym. Jest to jednak wynik pewnego nieporozumienia: radykalna burżuazja przecenia swe siły, sądząc, że da sobie radę z wrogami z obydwu stron: i z prawej i z lewej; Rzym znów jak zawsze jest oporny na wszelkie zmiany i nie rozumie, że modernizm jest dlań najlepszym środkiem stopniowego zdobycia twardych serc tej części burżuazji francuskiej, która się jeszcze nie schyliła w jego ramiona.

A ponieważ teoretycy rewolucyjnego syndykalizmu wyczuli w polityce antyklerykalnej radykałów burżuazyjnych pobożne życzenie zjednoczenia przeciw klerowi całej postępowej Francji, aby w ten sposób współdziałać odrodzeniu złudzeń jedności interesów narodowych—przeto zapalczywie rzucili się na socjalistów za to, że, jak twierdzą, dali się wciągnąć w zręcznie rozstawioną matnię, i w tym zapale ani się obejrzeli, jak wpadli pod skrzydła katolicyzmu w jego nowej edycji. Tragicznem byłoby położenie takiego Sorela, gdyby mógł przejrzeć i poznać swój błąd; jeszcze bardziej tragicznem byłoby ono, gdyby mógł i miał chęć i cierpliwość zapoznać się z poglądami swego ucznia—polaka—p. Brzozowskiego.

Religijne dociekania p. Brzozowskiego posiadają bowiem ten sam, lecz w jeszcze wyższym stopniu i wypowiadany wyraźniej pierwiastek reakcyjny, co i modernizm katolicki.

Oto, np., w „Ideach“ czytamy: „Ja wiem, czuję stąd z Włoch..., że rośniemy, że rozpoczęły się sprawy decydujące w naszym ludzie wiejskim, że tam już zapoczątkowuje się nowa dusza polska; wierzchem jej płynie entuzjazm, towarzysz niebezpieczny wszystkich zaczynających się ludowych przekształceń; gdybyśmy teraz tę pewną, wzrastającą moc naszą postawili na kartę rozpaczliwie wprost beznadziejnych rachub politycznych, byłoby to zbrodnią na przyszłości naszej. *Dlaczego to piszę? bo tylko głęboko ustalona wiara daje cierpliwość umiejącą patrzeć po przez grób nawet, a przezwyciężać żądzę męczeństwa, bohaterstwa i poświęcenia*“.

Nie wdajemy się tu w to, o ile uzasadnione są wizje p. Brzozowskiego co do ożywienia wśród ludu wiejskiego.

W każdym razie z wyżej przytoczonych słów wynika wyraźnie, że wiara ma, według jego recepty społecznej, odegrać rolę tamy względem zapędów przewrotowych szerokich mas ludu wiejskiego.

Zaznajomienie się bezpośrednie z dzisiejszymi ideałami p. Brzozowskiego wykaże nam, że jego dociekania religijne i ich zadania nietylko są wynikiem jego metody i całego światopoglądu filozoficznego, lecz że się też znajdują w zupełnej harmonji z temi jego ideałami.

III.

Te zadania, które p. Brzozowski stawia przed społeczeństwem polskiem, wyprowadza on z negacji ideałów „Młodej Polski”, z krytyki jej ideologji.

Zadanie autora „Legendy Młodej Polski” polega nie tyle na charakterystyce strony artystycznej twórców tego kierunku, ile na krytyce ich stanowiska ideowego, wskutek tego nie zajmuje się on ich poszczególnemi utworami, lecz daje ich ogólną charakterystykę; wskutek tego i my zatrzymamy się tylko o tyle na rozdziałach, poświęconych krytyce „Młodej Polski”, o ile to jest nam potrzebne dla wyjaśnienia dzisiejszych ideałów społecznych p. Brzozowskiego i tej ewolucji ideowej, którą przeżywa.

Musimy zaznaczyć, że rozdziały te należą do najlepszych w obydwu dziełach. Co prawda, obfitują one w komunały, jak i inne utwory tego autora, lecz mimo to, znać w nich utalentowanego fachowca — krytyka literatury pięknej; myśli w nich zawarte, nie zważając na zbyt ogólnikowy charakter, odznaczają się niejednokrotnie trafnością i głębokością.

Te zarzuty, których nie można i tu nie uczynić p. Brozowskiemu, muszą właściwie być skierowane przeciwko jego światopoglądowi, którego wyniki dają się zauważyć i w usterkach tej części jego utworów.

Oto, np., charakteryzując pisarzy rozpatrywanego przezeń okresu, pomija on twórczość największego z pośród nich — S. Przybyszewskiego, którego nazwisko jednak często wspomina. Czyżby p. Brzozowski powtarzał błąd Brücknera, wykreślając naszego wielkiego modernistę z pośród pisarzy polskich.

Sądząc z tego, co p. Brzozowski pisał dawniej o utworach S. Przybyszewskiego, tak nie jest, raczej tak nie było.

Być może, że pominięcie Przybyszewskiego było wynikiem zaślepienia ideologją katolicką. Przybyszewski bowiem, jak wiadomo, odegrał wybitną rolę w rozwoju polskiego indywidualizmu i to mianowicie w tej części Polski, gdzie rozwój duchowy ludności był najsilniej skneblowany przez obskurantyzm katolicki.

Niewyraźny też jest stosunek autora „Legendy” Młodej Polski” do Kasprowicza. Zbyt długie są hymny chwalebne na cześć Norwida.

W charakterystyce, natomiast, ogólnego stanowiska Młodej Polski oraz takich jej przedstawicieli, jak Żeromski i Wyspiański, widzimy dawną odwagę i artyzm p. Brzozowskiego.

Jego pogląd na sztukę, acz wypowiedziany, jak zwykle, zbyt ogólnikowo, nie ujawnia tych sprzeczności, w które obfitują jego poglądy w innych dziedzinach. „Nikt—pisze—nie szukał piękna, szukano dla siebie pełnego i silnego życia, i przez to właśnie powstało piękno. Piękno to zawsze treść pewnej epoki, pewnego jej odłamu, przeżyta przez silną, zdolną upoić się sobą indywidualność.”

P. Brzozowski nie przypuszcza, że artysta może upoić się nie sobą, lecz dążeniami sfer społecznych, do których należy, że artyzm i wiara w swe siły niekiedy bywa wynikiem przejęcia się temi dążeniami. Jest to wynik jego subjektywizmu. Nie jest to jednak decydującem w kwestji, o której tu mowa. Swój pogląd zaś na sztukę autor całkiem konsekwentnie stosuje do charakterystyki „Młodej Polski.”

„Aby poznać jej charakter, aby wniknąć w głąb jej ideałów i ocenić je, należy poznać naturę życia, które je zrodziło.“ „Gdy zadamy sobie pytanie, kto był właściwym twórcą ruchu młodopolskiego, odpowiedź musi być jasną. *Typem tym jest osamotniona jednostka, nie znajdująca dla siebie w ramach istniejącego społeczeństwa zadania ani stanowiska, pochodząca z warstw posiadających lub psychicznie od nich zależna.* Odrywanie się jednostki tej od społecznego podłoża, jej dojrzewanie do samotności, usiłowanie przełamania tej samotności, próby uzasadnienia swego stosunku do świata, oparcia na tym stosunku jakiejś akcji, jakiegoś dziejowego, czy choćby tylko indywidualnego planu — oto są zasadnicze momenty przejść psychicznych, których wyrazem była i jest twórczość Młodej Polski.” Nie wyraża ona jednak, jak twierdzi, reakcji przeciwko dążeniom klasy robotniczej, czem, w mniemaniu pewnej części krytyków, odznacza się neoromantyzm zachodnio-europejski, nie jest wynikiem krytyki pozytywizmu, naturalizmu, wyraża raczej protest przeciwko zwyrodnieniu naszych klas posiadających, przeciwko płytkości duchowej naszego społeczeństwa, przeciwko wreszcie tym warunkom zewnętrznym, pod których wpływem zamiera nasze życie kulturalne.

Lecz dzięki temu — czytamy dalej — że twórcy „Młodej Polski” pochodzą z pośród oderwanej od bezpośredniego życia wytwórczego inteligencji, twórczość jej posiada specyficzny charakter. „Romantycy usiłowali przetworzyć życie odciętych od kraju jednostek

w życie narodu; teraz zmienia się szybko życie dziejowe w marzenie, sen, wzruszenie, subjektywizm bezsilnych samotnych dusz..."

(d. c. n.). K. Zalewski.

Henryk Heine.

OBIETNICA.

Już, wolności Niemiec, boso
Nie podrepcesz poprzez bagno,
Wreszcie pończoch ci zapragną,
Oraz buty ci przyniosą.

Zabezpieczyć winnaś głowę
Futrem pudlej czapy ciepłej,
Iżby uszy ci nie skrzepły
W tchnące mrozem dni zimowe.

Jadła dadzą ci po uszy...
Będziesz miała sukces boski!...
Tylko niech cię Satyr włoski
Do ekscesów nie poruszy!

Nie nabieraj zuchwałości!
I wciąż respekt miej głęboki
Dla zwierzchności twej wysokiej
I burmistrza Jegomości!

Przełożył **Wł. Nawrocki**

Mahâ-Bhârata.

III. (Dokończenie).

Wszystko, co wydaje się sprzecznem wewnętrznie, wszystko, co jest dziwaczne i potworne—wszystko się wyjaśnia zasadą taką lub inną, jaka się zawiera w księgach świętych (Wedach, ks. Manu, Brahmanach, Puranach i t. d.). Istotnie Dahlman znakomicie, udowadnia cytatami, że ilekroć ktokolwiek w MB. jakikolwiek czyn popełnia, natychmiast uzasadnia go całym szeregiem cytat z ksiąg świętych. Kiedy np. król Duszyanta chce poślubić Sakuntalę trybem Gandharwów ([5]), wówczas oboje z jurystą prowadzą z tego powodu długą dyskusję o istocie i charakterze tego ślubu.—Jeżeli podług Holtzmana i wielu innych podstawą MB. jest Saga, powieść: to dla Dahlmana przeciwnie esencję poematu stanowi właśnie część nauczająca, a Saga jest tylko popularnym sposobem wykładu. Mamy w MBh. specjalne działy, w których się skoncentrowało nauczanie, jak księga Sanatsudżaty, *Bhagawadgitâ*, *Radżadharma* (Prawo królewskie), *Mokszadharma* (nauka o wyzwoleniu), *Anugitâ* (uzupełnienia Bhag.);—mimo to jednak esencja tych nauk rozlana jest po całej MBh. od początku do końca—w każdym epizodzie, w każdej pieśni i w każdym wierszu.

Jest to nauka od początku do końca jednolita i jednakowa, która kunsztownie powiązała tysiącolетnie sprzeczności i konflikty ducha indyjskiego. Bogowie starzy i nowi żyją koło siebie w zupełnej swobodzie, bo jakkolwiek Wisznu jest młodszym od Indry, a Siwa od Yamy — to jednak autor umiał każdemu z nich nadać odpowiednie stanowisko.

W gruncie ani co do stopnia kultury ani też co do pojęcia o Bogach – niema tak wielkiej różnicy przy porównaniu Mahâ-Bhâr. z Wedą.

Są to ci sami bogowie— te same kasty — te same obyczaje — te same zasady zycia. Jedna tylko rzecz wchodzi tu nowa, choć już zaznaczona w Wedach, a mianowicie filozofja, według pewnych szkół i systemów wykładana.

Systemy te są: *Sankhya* czyli syntetyczne rozumowanie, *Yoga* czyli nauka jedności mistycznej, *Vedânta* czyli idealizm intuitywny.

Trzy te systemy przenikają na wskróś Mahâ-Bâhr., a zwłaszcza *Sankhya.*

Nie będziemy tu bliżej rozwijać zasad Sankhyi; zaznaczymy tylko, że jest to nauka całkowicie oparta na rozumie, pomijająca ideę boga i wszystko, co jest oparte na wierzeniu, w zasadzie swej dualistyczna. Dzieli ona świat na dwa niepołączone wewnętrznie elementy: materję *(prakriti)* i ducha *(purusza)*. Z tej nauki bezpośrednio wyniknął naprzód Dżainizm, a potem Buddyzm.

Dżainizm do dziś istnieje w Indjach, ma koło 150 tys. wyznawców i bardzo zbliżony jest do Buddyzmu; nigdy nie był on wojującym i nigdy nie miał takiego powodzenia jak nauka Sakya - Muniego i dla tego nie był prześladowany. Natomiat bramini przyjęli Sankhyę, lecz ją przerobili, włączywszy do niej pewne tezy Yogi (Boga osobistego) oraz tezę Vedanty: principium łączące wewnętrznie ducha i materję. Tak przetworzona Sankhya nie była sprzeczna ani z wiarą wedycką, ani z religją ludową.

Owóż Sankhya, jako rodzicielka buddyzmu, chwilami nadawać może MB. pozory buddystyczne; te właśnie pozory uwiodły Holtzmana, który wszędzie podejrzewa ślady buddyzmu w *swojej* pierwotnej Mahâ-Bhâracie.

Niema w MB. buddyzmu, gdyż nie powstała ona w kołach buddyjskich, przeciwnie bramini to zgromadzili wszystkie swoje tradycje legendowe, historyczne, teologiczne i filozoficzne i połączyli w to kunsztowne, jednolite dzieło, jakiem jest MB.

Co do czasu jedynie — to zarówno MB. jak buddyzm jest wytworem jednej i tej samej epoki bujnego rozkwitu duchowości indyjskiej: jedno i drugie narodziło się w VII — VI w. przed Chr. — na tle kultury bardzo wysokiej zarówno pod względem społecznym, jak i umysłowym.

Już Wedy, które zdaje się były gotowe w XX w. przed Chrystusem—są wytworem sztuki literackiej bardzo wyrobionej, która świadczy o dawności kultury Indji. Mahâ-Bh. jest o dwanaście stuleci późniejsza. Tu forma doszła do skończonej doskonałości, miejscami nawet znać już ślady tej dojrzałości literackiej, która się zowie dekadentyzmem. Znajdujemy w MB. wszystkie formy od czystego klasycyzmu do rozkładającej się mowy półludowej.

Na ogół jednak przeważa styl sztuczny, podobnie jak u Homera, język rapsodów, specyficzny, którym nikt nie mówił potocznie. Jest to mowa *par excellence* poetycka.

Przechodząc teraz od formy do treści, zaznaczymy, że dla Dahlmana celem zasadniczym MB. jest nauka zakonu *(adharma)*; walka zaś, jaką poeta nam w MB. opowiada, jest to walka między prawem a bezprawiem *(adharma)*, cnotą a występkiem, prawdą a kłamstwem, materją a duchem etc. Ponieważ zaś Dahlman dzieli MB. na Epos i *Lehrbuch* (Sastra), bardzo zręcznie zestawia on, jak się dany motyw przedstawia w eposie, a jak w *Lehrbuchu*. Oczywiście sprawiedliwy

[5]) Było to małżeństwo bez obrzędów i form kościelnych; połączenie dobrowolne, jakbyśmy powiedzieli „na wiarę", ale obowiązujące. Z małżeństwa Sakuntali z Duszyantą rodzi się Bharata. Król żegna się natychmiast po ślubie z żoną i przyjmuje ją dopiero po sześciu latach, gdy z synem zjawia się na dworze.

zyska wszelkie nagrody; niesprawiedliwy będzie ukarany. Jednakże zakon ma w sobie tajemnicę: nieraz zły bywa szczęśliwy, dobry gnębiony losem; ale to pozór: czekajcie a patrzcie końca.

Każda też opowieść ma na celu wyjaśnić albo poprzeć dane prawo; z drugiej strony wytłumaczyć stary obyczaj, (np. porywanie kobiet) już nie będący w użyciu. Stąd wszędzie w poemacie różni „znawcy praw" i wogóle prawnicy, ludzie nieodzowni na każdym dworze, oczywiście bramini. Najstarszą legendę autor MB. umiał w ten sposób przetopić w duchu jednorodnym.

Przypuszczając, że cała teorja Dalhmana jest prawdziwą, pozostaje najdrażliwszy punkt, jak powstała ta kolosalna księga i jakim sposobem mógł ją ułożyć jeden człowiek?

Dahlman przyznaje, że t. zw. epizody, np. Nal i Damayani, Sovitzi, Bhagaraqîlâ i t. d. mogą być włączone, chociaż są to utwory innych autorów. Ale całość to nagromadzenie tak rozmaitych, tak odrębnych fragmentów—ma być dziełem jednego człowieka. W „Księdze wyzwolenia" (*Mokszadharmie*) stale się powtarza formuła: Stara legenda opowiada o tej sprawie... Jak to nam prawi starożytna powieść... i t. d. Tego rodzaju wyjaśnienie możnaby w bardzo wielu miejscach pododawać, jako oczywiste, choć przez poetę nie wygłoszone (np. w książce Markandeyi, w pielgrzymce po pustelniach i t. d.).—Bezwzględnie po za samą linją główną powieści, która niewątpliwie też ulegała rozszerzeniom, M. Bh. jest kombinacją utworów różnych i różnych pisarzy.

Choć styl jest mniej więcej wszędzie jednakowy—to przecież i w nim zauważyć można różnice.

Dahlman bardzo słusznie powraca do tradycji indyjskiej która układ M, B. przypisuje jednemu pisarzowi, ale imię tego pisarza jest Vyâ Sato znaczy układacz, redaktor — to jest człowiek, który materjał istniejący zebrał i ułożył; że go ułożył w sposób mądry, jednolity, harmonijny—jest to dowód genialności, ale niewątpliwie M. B. jest pracą poniekąd zbiorową!

Przedstawiliśmy tu obie hypotezy, Holtzmanowską i Dahlmanowską jedna drugiej przeczy bezwzględnie; każda bardzo umiejętnie wyłożona, każd a też chwilowo może olśnić i czytelnika przekonać. Ale zarówno jedna jak druga załamuje się w punkcie najważniejszym — i nie możedać odpowiedzi na to zasadnicze pytanie: jak powstała ta Mahâbhârata, którą dziś posiadamy, i z jakich rozwinęła się pierwiastków? Kwestja genezy — słowem, pozostaje otwarta.

Są jeszcze inne próby wyjaśnienia rodowodu M.B., ale wszystkie dadzą się sprowadzić już do typu Holtzmanowskiej teorji, już Dahlmanowskiej.

Można dziś śmiało powtórzyć słowa anglika T. Wheelera, z r. 1869 że studjum Mahâbhâraty jest jeszcze w kolebce.

A. Lange.

Rozdźwięki.

„Zaczyna się na nowo."

Na niedawnym strejku tramwajowym pp. Spokorny, Czetwertyński i S-ka ponieśli znaczne straty, natomiast burżuazja jako całość odniosła niewątpliwy zysk.

Strejk ten stał się bezpośrednim powodem do skrępowania prasy lewicowej w dziedzinie swobodnego omawiania tej akcji ekonomicznej, której ponowną widownią jest od miesięcy już Warszawa i która w chwili obecnej jest najpoważniejszym faktem w życiu naszego społeczeństwa.

Polemiki, wywołane przez „postępowych" antysemitów, są wobec niej igraszką literacką, gdyż wszelkie wyniki, jakie dadzą rozprawy te—dlatego, że dokonywują się w próżni teoretycznej i że nie przechodzą przez ogień doświadczeń społecznych—mogą za jednym zamachem zostać przekreślone przez najodleglejsze skutki owej akcji ekonomicznej. Ona to bowiem w ostatecznych swych konsekwencjach rozstrzygać będzie, czy pewne warstwy społeczne dojdą znów do głosu, wnosząc do życia publicznego własną, odrębną, a przemożną ideologję.

Powracając do położenia prasy po strejku tramwajowym, podnieść trzeba, że prasa burżuazyjna korzysta już w całej pełni z przysługującego jej dziś monopolu do swobodnego wypowiadania się w sprawach akcji ekonomicznej. Korzysta zeń skwapliwie, by, przedrukowując z małemi zmianami własne paszkwile z przed lat kilku, oświetlać po swojemu dążenia „rąk" do poprawy bytu, a wyciągając z ukrycia wszystkie zmory ruiny przemysłu i kraju, wywiera na opinję publiczną „nowy teror."

Wobec przymusowego milczenia prasy radykalnej mają gadzinowce reakcyjne nie tylko pełne pole działania, lecz więcej — cieszą się bezwzględną eksterytorjalnością polemiczną. Oparci o czynniki rozstrzygające, utni w ich potężne ramię, jurgieltnicy kapitału harcują dziś bezkarnie na terenie przeciwieństw klasowych, miotając się przeciw tym wszystkim, którzy mają usta zakneblowane.

Pełen paniki okrzyk: „zaczyna się na nowo!" — okrzyk, który przewija się jak *leitmotiv* po przez łamy pism, będących na utrzymaniu kapitału, rozdziera gardła nie bez pewnej słuszności. Ale przy najnowszym układzie rzeczy w naszych stosunkach prasowych lewica—pomijając pogardliwem milczeniem wszelkie niedorzeczności, wszelkie błędy, wywołane przez nieznajomość warunków pracy i stosunków organizacyjnych, wreszcie wszelkie kłamstwa i oszczerstwa — lewica, powiadamy, nie ma możności pouczyć wielkiego fabrykanta i episjera z rogu ulicy, że to, co oni uważają jeszcze za powrót do „anarchji" z przed lat paru, uchodzi na Zachodzie za stan normalny. Tam zatargi między kapitałem a pracą przeszły już oddawna ze sfery wykroczeń policyjnych do wielkiej dziedziny zjawisk społecznych.

Niepojętą byłoby natomiast rzeczą, iż w kraju, gdzie wolność strejkowania jest poręczona przez prawo, tylko jedna strona, to znaczy burżuazja, może nawoływać jawnie i bezkarnie do lokautów, t. j. do strejków, urządzanych przez kapitał.

Niepodobna oczywiście się spodziewać, aby prasa „półoficjalna" zrozumiała w pewnej chwili dwuznaczność swoich przywilejów, aby, uniesiona dżentelmenerją, zaprzestała korzystać ze swego monopolu i eksterytorjalności, ale i ona nie powinna się łudzić, że zdoła agitacją swą zatamować bieg wypadków.

W w.

Pamięci S. Muromcewa.

W dniu 20 października 1910 roku Moskwa chowała jednego z najwybitniejszych swych obywateli, pierwszego prezesa pierwszego parlamentu rosyjskiego, Sergjusza Muromcewa.

Naród rosyjski pokazał, że drogie dlań są tradycje, związane z krótkotrwałem istnieniem „dumy gniewu ludowego" i uczcił jej prezesa pogrzebem tak okazałym, na jaki tylko można się było zdobyć w chwili najczarniejszej reakcji, absolutnego uśpienia społecznego.

Nie tysiące, nie dziesiątki nawet, lecz setki tysięcy wzięły udział w obchodzie pogrzebowym. I nie zielone barwy sztandaru partji k-d, do której zmarły należał, zgromadziły tych ludzi — jeno wzniosłe wspomnienia o dniach pierwszego święta narodowego, dniach barwnych nadziei i ciężkich zawodów.

Rosja urzędowa na pogrzebie reprezentowana nie była. Natomiast żywioły reakcyjne uczciły pamięć Muromcewa w nader osobliwy sposób. Czarnosecinny zarząd miejski w Petersburgu większością głosów odrzucił propozycję uczczenia zmarłego przez powstanie. Sławetny Mieńszykow wydrwił w sążnistym feljetonie „jewrejskija pominki" organizowane przez grupę „obrzezańców". Ale Rosja prawdziwa, złożona nie z plutokratów i sprzedajnych publicystów, tylko z elementów szczerze demokratycznych, zamanifestowa swe uczucia uroczyście i dobitnie nad świeżą mogiłą jednego z pierwszych działaczy konstytucyjnych.

S. Muromcew należał do rzędu „liberałów" rosyjskich starej daty. Demokratyzm jego nie miał charakteru przygodnego płaszczyka, jak to często ma miejsce w obozie ex-dygnitarzy i ex-marksistów, obecnie mianujących siebie głośno „partją wolności ludu".

W stosunku do innych partji, w szczególności do lewicy, jako prezes Dumy państwowej, S. Muromcew był sprawiedliwy. W życiu prywatnem był człowiekiem nadzwyczaj prawym. Jako działacz naukowy w dziedzinie nauk prawnych, położył znaczne zasługi.

Przeminie czarna reakcja, pogrążą się w niepamięć imiona obecnych kierowników losów naszych, lecz imię Muromcewa zostanie wypisane na stronicach historji, związane na wieki z jasną chwilą odrodzenia.

Adam S—ski.

Petersburg.

Krytyka i sprawozdanie.

Z Filharmonji.

Sezon muzyczny w Filharmonji rozpoczął się w roku bieżącym z opóźnieniem, które nastąpiło wskutek tego, iż Warszawska Orkiestra Filharmonijna zmuszona była oprzeć swój byt na nowych podstawach, znanych czytelnikom naszym z doniesień pism codziennych. Zasady te o tyle zdają się sprzyjać w „zasadzie" wymaganiom artystycznym, że członkowie orkiestry wraz ze swoim kapelmistrzem, p. Fitelbergiem, pozbawieni możności liczenia na pokrycie deficytu prez możnych protektorów, będą musieli zawdzięczać powodzenie w pierwszej linji swemu własnemu dążeniu do podniesienia poziomu artystycznego koncertów. O ile więc, po wzięciu pod uwagę wysokiej niemuzykalności oraz braku potrzeby wzruszeń artystycznych u publiczności warszawskiej, strona materjalna przedsięwzięcia nie przedstawia się, niestety, zbyt różowo, o tyle strona czysto artystyczna może niewątpliwie tylko zyskać.

W miesiącu ubiegłym mieliśmy dotychczas dwa koncerty symfoniczne, (oprócz popularnych). Z pierwszego wielkiego koncertu symfoniczego, nie możemy, niestety, dać sprawozdania, ponieważ redakcja nasza nie zdążyła zaopatrzyć się na czas w płatny bilet, zarząd zaś orkiestry nie uznał był za rzecz odpowiednią zastosować się do obowiązków kulturalnych, przyjętych ogólnie wobec prasy. Koncert drugi, który odbył się dnia 28 października, nie zgromadził większej liczby słuchaczy prawdopodobnie wskutek braku popisów solowych, stanowiących przynętę dla niemuzykalnej Warszawy. Program koncertu składał się z przepięknej, pełnej wzniosłego bohaterstwa „Uwertury tragicznej" Brahmsa, „Eroiki" Beethovena, „Anhellego" Różyckiego i „Don Juana" Straussa. Wykonanie tych utworów było bardzo nierówne. Najbardziej artystycznie wypadło odtworzenie Don Juana utw. Straussa, co nie było niespodzianką, ponieważ już w roku przeszłym mieliśmy możność przekonania się, że pewne dzieła współczesne o silnym nerwie dramatycznym, wymagające umiejętności operowania wielkiemi a efektownemi masami o bogatym podkładzie instrumentacyjnym, dostarczają p. Fitelbergowi wdzięcznego pola do popisów kapelmistrzowskich. Z chwilą jednak, gdy chodzi o odtworzenie dzieł repertuaru t. zw. klasycznego, np. utworów Mozarta, Beethovena, Brahmsa, p. Fitelberg zdaje się tracić grunt pod nogami. Słuchacz ma wrażenie, że p. Fitelberg nie potrafi wczuć się w monumentalne, przejrzyste i wytworne linje klasyków, że w kierowaniu ich utworami nie może zdobyć się na należyte umiarkowanie artystyczne, że szlachetny duch tych utworów jest mu obcy. Przejawia się to w trudności, z jaką udaje mu się znaleźć odpowiednie tempa, w zacieraniu przesubtelnych właściwości rytmicznych, które u klasyków, nie operujących instrumentacyjnemi efektami, posiadają tak niewysłowiony urok, w zatraceniu szlachetnych linji i co za tem idzie w ustawicznem jej rwaniu, wreszcie w niewłaściwem ustosunkowaniu brzmienia poszczególnych grup instrumentów oraz związanem z tem przejaskrawieniem dynamicznem. Wszystkie te wady wystąpiły w pełni w „Eroice", spotęgowane jeszcze niedbałością, z jaką cudne to dzieło zostało wykonane. Pomijając już usterki takie, jak przedwczesne „wejście" waltorni i dyskretne wycofanie się jej w części pierwszej, musimy zaznaczyć takie wady wykonania, jak zbyt powolne tempo części trzeciej. Nie zdołało ono uchronić waltorni od niepewnego i ochrypniętego brzmienia, które nie przyczyniło się do uwydatnienia pięknego motywu. Najlepiej względnie wypadły niektóre warjacje części czwartej. Należy przypuszczać, że w przyszłych koncertach p. Fitelberg zwróci większą uwagę na przygotowanie orkiestry i przystąpi do Beethovena z większym pietyzmem. Postępy w czystości brzmienia rozmaitych instrumentów i w precyzji technicznej, jakie zdołał p. Fitelberg osiągnąć w sezonie ubiegłym, upoważniają nas do przypuszczenia, że te usterki formalne, które wyszły na jaw w wykonaniu symfonji Beethovena, nie powtórzą się w koncertach następnych.

Z dzieł polskich wykonano „Anhellego" Różyckiego. Utwór ten świadczy o tem, że p. Różycki ma naprawdę coś do powiedzenia. Nie jest to ani mędrkowanie muzyczne, ani uganianie się za niebywałemi efektami przy jednoczesnem wystrzeganiu się melosu, co można było dostrzec w niektórych utworach „Młodej Polski", wykonanych w sezonie ubiegłym, lecz dzieło, będące wynikiem szczerego i poważnego stosunku autora do sztuki. Wielką jego zaletę stanowi ta okoliczność, że niezależnie od tekstu Słowackiego, „Anhelli" p. Różyckiego posiada samoistną treść muzyczną. Jest to pełen głębokiej melancholji poemat muzyczny o nastroju gdzieniegdzie Lohengrinowym. Wdzięczność winniśmy p. Fitelbergowi za zaznajomienie nas z tym utworem.

J. S.

KRONIKA.

— Kary prasowe: Redakcja dwutygodnika „Pracownik" skazana została w drodze administracyjnej na zapłacenie 150 rb. kary za artykuł p. n. „Pouczający zatarg."

— Redakcja tygodnika „Młot" skazana została na zapłacenie 100 rb. kary za artykuł p. n. „Bezrobocie pracowników tramwajowych."

Redakcja tygodnika „Izraelita" skazana została na zapłacenie 100 rb. za artykuł p. n. „Rozróżniajmy."

— Redakcję „Kurjera Warszawskiego" na mocy postanowienia generał-gubernatora warszawskiego skazano na zapłacenie trzech kar: rb. 200 za wydrukowanie artykułu p. n. „Znamienne oznaki", rb. 100 za przedruk wyjątków z artykułu p. n. „Rozróżniajmy", umieszczonego w Izraelicie, rb. 25 za podanie wiadomości o rewizji, dokonanej w Łodzi.

— Komisja gubernjalna do spraw stowarzyszeń i związków w Kijowie postanowiła zamknąć „Klub pracy." Komisja uznała istnienie stowarzyszenia tego za szkodliwe i zagrażające bezpieczeństwu publicznemu. Klub działał głównie na polu oświatowem; liczył kilkaset członków.

— W Chołmogorach gub. archangielskiej skazano na areszt policyjny 18 zesłańców politycznych. Policja oskarżyła o wyruszenie za miasto bez specjalnego pozwolenia.

— Sprawa bar. Ungern-Sternberga, posądzonego o szpiegostwo wojskowe na rzecz obcego mocarstwa, rozpatrywana będzie w tych dniach przez petersburską Izbę sądową z udziałem przedstawicieli stanów. W charakterze świadków stanąć ma kilku posłów do Izby państwowej i członków komisji obrony państwowej.

— Na przedmieściu Berlina, w Wedding, w dn. 29 z. m. wybuchły zaburzenia uliczne, przypominające niedawne w Moabicie. Wydalenie pracownika rzeźniczego stało się powodem strejku. Opór ze strony pracobiorców zaognił sprawę, do której rozwiązania powstała ulica. Skosygnowano silne oddziały policji, polecając jej położyć tamę zaburzeniom przy pomocy środków najbezwzględniejszych.

— Uwięziony w Lizbonie były prezes ministrów i dyktator Franco został wypuszczony na wolność po złożeniu miljona franków kaucji. Rząd republikański wytoczył mu proces za nadużycie władzy.

— Postępowa młodzież akademicka we Lwowie urządziła strejk jednodniowy, mający być wyrazem protestu przeciw aresztowaniu królewiaków w Krakowie i przeciw postanowieniu policji w sprawie obchodu na cześć Bolesława Limanowskiego.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. Aleksandrowi G. List Sz. Pana otrzymaliśmy. Wdzięczni jesteśmy za pamięć. Niestety, korespondencja Sz. Pana z różnych względów nie może być drukowana w Społeczeństwie. Według życzenia przesłaliśmy ją do redakcji pisma, wskazanego przez Sz. Pana.

P. Stefanji H. Wykaz adresów otrzymaliśmy. Dziękujemy za słowa zachęty. Numery okazowe wysłaliśmy niezwłocznie. O zbiorowej prenumeracie z P. nic nam niewiadomo.

P. Wł. M. Dziękujemy. Numery okazowe wysłaliśmy pod wskazanemi adresami.

P. Wacł. B. Nie przerywaliśmy. Doświadczenie wskazuje, że prędzej czy później zaległa prenumerata zostaje zapłacona. Dziękujemy.

P. Wład. Sk. w Ł. Pieniądze otrzymaliśmy. Numery okazowe wysłaliśmy pod adresem Sz. Pana. Wdzięczni jesteśmy za dopisek serdeczny.

P. B. N. w Krakowie. Owszem, w Biurze dzienników Hopcasa.

Redaktor i wydawca Dr. J. M. Muszkowski. Drukarnia Artystyczna K. Kopytowski i S-ka Nowy-Świat 47.